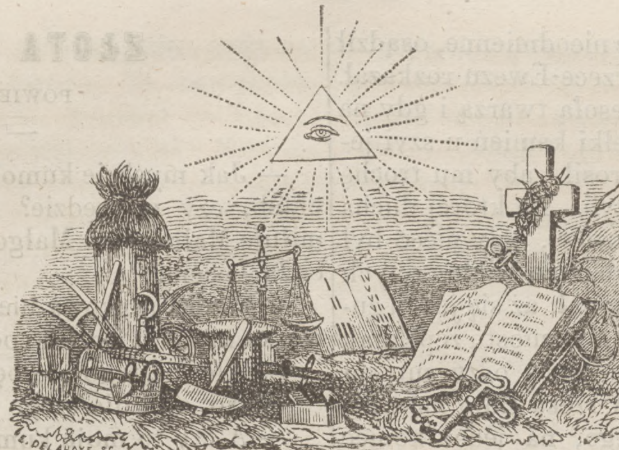
№ 13.

WARSZAWA

30 Marca.

1862.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Święty Floryan.

4go Maja.

Za czasów Dyoklecyana i Maksymiliana cesarzów, w owém wielkiem prześladowaniu chrześcian w mieście Laureaku, stsrosta Akwilinus, pojmał czterdzieści żołnierzów chrześcian, które długiemi i wielkiemi mękami i więzieniem, do bałwochwalstwa przymuszał. O tych słysząc święty Floryan, będąc onych żołnierzów starszym rotmistrzem, pragnął być uczestnikiem korony ich. I wyjeżdzając z miasta Tecyi w którém mieszkał, a żegnając się z towarzyszami swemi rzekł: „Idę do Laureaku, dla Chrystusa mego męki podejmować i krew rozlać.“ I zaraz w drodze spotkał żołnierzy pogan na jednym moście, i spytał ich: „Gdzie i po co idziecie?“ „Iżali nie wiesz, rzekli, cesarskiego rozkazania, którem staroście naszemu każe, aby chrześciany do ofiary bogom przymuszano, albo je mękami rozmaitemi tracono? Przetoż posłani jesteśmy od starosty, szukając takich ludzi.“ A święty Floryan rzekł zaraz: „Nie trzeba wam daleko jeździć i wiele szukać, oto mię macie, jam jest chrześcianin.“ Pojmali go wnetże i wiedli do starosty, mówiąc: „Nie trzeba wiele szukać, owo Floryan, starszy nasz, chrześcianinem się być mieni.“ Zdziwił się starosta i rzekł: „Co to o tobie słyszę, czy prawda to?“ A on odpowiedział: „Zaprawdę tak jest.“ Rzecze starcsta: „Ofiaruj bogom.“ Odpowie święty Floryan: „Tego nigdy nie uczynię, czyń ty co chcesz, i coć kazano.“ Tedy go kazał srodze kijmi bić, a święty Floryan modlił się do Pana Boga mówiąc: „Boże, Tyś nadzieja moja, zaprzeć się Ciebie Twórcy i Odkupiciela nie mogę; Twój jestem żołnierz, niech mnie broni ręka Twoja; daj mi mocne serce ku wycierpieniu męki téj, a policz mię między wierne sługi Twoje, którzy przedemną wyznawali imie Twoje, i podeptali diabła i zdrady jego.“ To słysząc Akwilinus, śmiał się z niego i mówił: „Ofiaruj bogom!“ a gdy święty nie chciał, kazał go Akwilinus żelazami ostremi targać, tak, iż grzbiet jego ranami srogiemi zorany był; ale męczennik z wesołą twarzą wszystko cierpiał, a Chrystusa nie przestał chwalić. Widząc

wielką stateczność, serce nieodmienne, osądził go na śmieć i utracić w rzece-Ewezu rozkazał.

Szedł męczennik z wesołą twarzą i gdy na miejsce ono przyszli, wielki kamień u szyi jego uwiązali, a on ich prosił, aby mu trochę czasu do modlitwy użyczyli. Na której ducha swego polecając Chrystusowi, gdy nieco był zachwycony w duchu, żaden mu ze sług onych modlitwy przerwać nie śmiał: aż się jeden zuchwały obrał, który sam go z mostu zepchnął, ale uczuł rękę Boską, bo wnet oczy mu się przepękły i wyciekły. A rzeka ciało męczennika świętego już umarłego, na jeden koniec wyniosła, przy którym go orzeł strzegł pilnie, i od zwierza bronił. Ukazał się potém Floryan święty we śnie, jednéj uczciwéj żonie Waleryi, polecając jéj, aby na pewne miejsce ciało ono zawiozła i pogrzebła. Ona to chcąc czynić, a bojąc się pogaństwa, tajemnie na wóz ciało włożywszy, chrustem je przykryła, dając znać innym, jakoby chrust na grodzenie płotu wiozła; a tak pogrzebła święte ciało wielkiego męczennika Floryana. Na miejscu onem dobrodziejstwa Boskie w cudownych pomocach, wsławiły Floryana świętego.

Kazimierz syn Bolesława Krzywoustego, na państwie Polskim siedząc, a pokoju od Pana Boga nieco mając, gdy o dobrém postanowieniu rzeczypospolitéj i obronie państwa swego myślił, widząc, iż próżno miasta strzeże, gdy sam Pan Bóg nie strzeże, wielką nadzieję mając w miłosierdziu Bożem, które zwykł w przyczynie świętych swoich, którzy krew dla niego rozlali, czynić; wyprawił do Rzymu do papieża posły swoje, prosząc pilnie, aby mu którego męczennika kości święte do Polski posłał, któregoby za mur i najwyższą obronę państwa swego mieć mógł. Na taką nabożną prośbę, papież posłał kości świętego Floryana męczennika do Polski. Roku pańskiego 1183 z wielką czcią i radością ludu wszystkiego, z nabożnemi na siedm mil processyami duchowieństwa, przyjął takiego gościa Kazimierz, sam pieszo idąc za onym drogim skarbem; który naprzód na Kleparzu w Krakowie postawiony był, gdzie Kazimierz kościół wielki postawił. Tam ramie jego zostawiwszy, ostatek świętych kości na krakowski zamek przeniesiono, gdzie w grobie znakomitym, z wielką powagą położone odpoczywają.

ZŁOTA DOLA

POWIEŚĆ

— Jak myślicie kumo? Będzie z téj mąki chléb, czy nie będzie? Jasio pono okrutnie miłuje Małgosię, a Małgosia mało się nie skręci za Jasiem!

— Stara Frankowa nie od tego, a Małgosina matka nie krzywo też spogląda na Jasia.

— Ale dla tego nie będzie z tego nic.

— No, a to dla czego nie ma nic być?

— A czy to moja kumo nie znacie Stacha, ojca Małgosi?

— Bogać nie mam znać, toć to nawet mój krewniak, ale jakem poszła za Pilicę ze swoim, takem go i nie widziała coś pono z 15 lat. A to widzicie moja serdeczna, poszukać drugiego takiego, żeby taki był chciwy na pieniądze. On tam niczego innego nie patrzy tylko majątku. Z nikim się nie zada, nie spojrzy nawet po ludziach, nie pozdrowi uczciwém słowem. Oczy mu gdzieś wpadły głęboko, gęba zawsze zacięta jak nurek jaki. Każdy mu też ustępuje z drogi i do chałupy żywa dusza nie zajrzy.

— Jakże ma kto zajrzéć, kiedy on każdego tak zaraz obwodzi ślipiami, że niby duchem za próg wyprowadza.

— A juści! ja tam w Niedzielę poszłam wstążeczki pożyczyć od Małgosi, a ledwiem za drzwi stąpiła, zaraz tak jakoś spojrzał na mnie z podełba, żem się ino zakręciła kole komina, niby to po ogień przyszłam i zaraz co tchu zmykałam. Małgosia chciała mnie wyprowadzić przed sień, ale krzyknął na nią: A gdzież to, gdzie? ledwie że nie zmartwiała na miejscu, i nie ruszyła się z ławy.

— O! on tę Małgosię okrutnie trzyma! Niech tylko dziewka zagada do kogo na wsi, albo się zatrzyma u studni, zaraz krzyknie na nią i jak bydle jakie zagania przed sobą do chałupy.

— Ale sprawia jéj za to szlacheckie sukienki, chustkę jéj kupił na ostatnim jarmarku, w którąby pani ubrać się mogła.

— Już jabym tam nie chciała i ogarnięcia pańskiego, żeby mi miał ojciec dobrego słowa nie dać, a batem wywijać nademną.

— Albo żeby ci bronił, wyszczerzać zęby do Tomka? Czekaj no czekaj! Przyjdzie koléj i na ciebie, wezmę ja jak Stach bata. Tak

mówił ojciec Marysi, ale nie trudno było wymiarkować, że mówi żartem, bo tam groźby nie było w tych oczach, co niemi na dziecko swoje spoglądał. Nie ulękła się też i Marysia, zaśmiała się tylko wesoło i błyskała onymi ząbkami białymi, co to je niby do Tomka wyszczerzać miała. Oczy czarne zaświeciły od wesołego serca, a ona też wytokując garnuszek, zaśpiewała o tych oczach:

Czarne oczy miała,
Czarnemi patrzała,
Innemi nie mogła,
Bo innych nie miała.

i przyśpiewując zebrała garnki, i wyszła je suszyć na płocie.

— To wy kumie Tomkowi bronić nie myślicie? spytał Błażéj, jak tylko dziewczyna za progiem zniknęła.

— A co mam bronić, odparł Szymek, chłopak do roboty tęgi, nie bałamut żaden, dziecko mi uszanuje. Nie ma ci on nic, tylko palców dziesięć, ona też niewiele, ale młodzi oboje, niech się dorabiają. Kiedy ma serce do mojéj dziewczyny, ona do niego, to już w tem widać wola Boska, ja jej tam na przekór nie stanę.

— Juścić nie ma co mówić. Tomek tęgi chłopak, ale i Jasiowi przyganićby trudno, a Stach równie mu swojéj dziewuchy nie da.

— Co głowa, to rozum! Mam ja swoje pokalkulowanie, ma on też swoje. Ja sobie miarkuję, że małżeństwo to sakrament święty a nie targ, i dziecka mego bym nie oddał ani za morgi gruntu, ani za dobytek, ani za tysiące gotowych pieniędzy, alebym szukał takiego, co jak zaprzysięże uczciwość i miłość przy pańskim ołtarzu, to i dochowa święcie, a dzieckiem mojém poniewierać nie będzie.

— Bo i pewno, dopowiedziała Szymkowa, co tam choćby i po złotéj doli, kiedy serce boli, nie chciałabym ja, żeby moje dziecko we złocie chodzić miało, a łzami się dusić, i nie wiem jak Stachowie przymuszać mogą Małgośkę do tego Felka niedołęgi.

— E! nie gadajcie! to oni ją myślą z Felkiem żenić?

— A juścić nieco. Takie to niemrawe i głupowate, że aż strach!

— No, ale się ojcu dogodzi. Felek jedynak, a ojcowie mają coś pono cztery włóki gruntu, stodołę nową stawiają. Krowa i jałoszka stoją w oborze i świń coś kilkoro. Matka ze szlachecka chodzi ubrana, to mu się dogodzi, że i swoją córusię będzie oglądał we szlacheckich sukniach.

— Ale dziewczynie się nie dogodzi, na Felka i spojrzeć biedactwo nie może, a ta jego matka to istna jędza, da jéj się ona we znaki, i całe bogactwo kością w gardle stanie!

Tymczasem, kiedy taka była rada w Szymkowéj chałupie, Małgosia zapuchła od płaczu, z czerwonemi oczami, ze spuszczoną głową idzie ze skopkiem do obory. Marysia jak ją zobaczyła, tak zaprzestała śpiewania i zawoła z cicha: „Małgoś! Małgoś! a czekajże na mnie, pójdziemy razem krowy wydoić.“ I jak fryga skoczyła do chaty, porwała skopek, i w mig wróciła na drogę.

Niepodobne były do siebie te dziewczyny! Serce się śmiało, jak było spojrzeć na jednę, serce płakało, jak spojrzałeś na drugą. Marysia miała spódnicę w pstre kwiatki, koszulę z sutą kreзą, związaną u szyi i u ręku czerwoną wstążeczką, za chustką wetknięte kwiaty, na szyi korale, na palcu pierścionek od Tomka z czerwoném oczkiem. Że nikt nigdy nad nią nie przewodził, głowę trzymała do góry, z czarnych oczów, niby tylko skry posypać się miały, a na ustach rumianych i świeżych jak kalinowa jagoda, zawsze to śmiech serdeczny, to dobre słowo dla ludzi, to piosenka była gotowa.

Małgosia choć szykowna sama z siebie, w sukni z bufiastemi rękawami, w grzebieniu wysokim, w chustce na szyi rozpuszczonéj z miejska, strasznie jakoś niepocześnie wyglądała. Oczy niebieskie były łez pełne, jak to niby te dzwonki na łące, co są wilgotne od rosy i ciężkie.

Szły z początku milcząc obok siebie, aż Marysię to milczenie korcić zaczęło:

— Ojciec nie wrócił jeszcze z jarmarku, spytała wreszcie.

— Nie, nie wrócił, z cicha rzekła Małgosia, ale na to jedno słówko, łzy z modrych oczów potoczyły się po twarzy i po onéj pańskiéj chustce, bo sobie przypomniała Małgosia, że będzie ojciec Felka i że o nią tam pewnie dobiją targu.

— Czegoż ty płaczesz? Jakaś ty głupia!

— Zgłupiałabyś i ty, żeby zawsze kto nad tobą przewodził.

— Co nie to nie! Jakbym nie miała serca do kogo, tobym za niego nie szła, żeby mnie tam na miejscu zaćwiczyć mieli.

— Ja też tak myślę, ale jak tatuś krzykną, tak już dusza we mnie ustaje i nie wiem na którym świecie jestem. Ja bo to widzisz taka, że się zaraz okrutnie przelęknę.

— O! patrzajże gdzie to ona zaszła, i jałoszka prosto w żyto, potrzymajże skopek, pójdę ją wygnać.

I skoczyła Marysia, ale nie wracała długo, choć jéj i Tomek wyganiać pomagał. Małgosia tymczasem wydoiła i swoję i Marysinę krowę, i wyszła z dwoma skopkami mleka wyjrzeć za oborę, czy Marysi nie widać. Zobaczyła ją, jak stała u wierzby, a Tomek przy niéj. Musiała mu opowiadać, jak z ojców wymiarkowała, że mu nie krzywi będą, bo Tomek z wielkiéj radości jak zwalił obcasem w kamień, tak się aż skry rzęsiste posypały, a potém jak nie podsadzi pod niego nogi, jak nie podrzuci do góry, tak aż przez płot żywy buchnął on kamień w wodę, woda plusnęła, a Marysia nuż po swojemu na cały głos chichotać, a ząbki przytém błyszczały jak perełki, a oczki świeciły jak tareczki.

Patrzała, patrzała Małgosia, a oczy modre znów łzami ciężyć zaczęły do ziemi. Postawiła skopki na płaskim kamieniu, przewiesiła ręce przez kołek co żerdzie trzymał w płocie, do martwego drzewa przytuliła głowę i jak nie zacznie szlochać! O Boże mój Boże! biednaż moja dola! A niechbym się lepiéj była nie rodziła. Pójdę gdzie, ucieknę za pola, za lasy, albo się gdzie utopię! O ja nieszczęśliwa, żeby się już lepiej ta święta ziemia roztąpiła przedemną, żebym nie wadziła ludziom, a już się chyba lepiéj w trumnę położyła.

Tak lamentowała Małgosia u płota, a tymczasem w mieście, Stach z Felkowym ojcem na prawdę o nią dobijał targu i właśnie stary Maciej popychał Felka niemrawę, żeby się ojcom pokłonił, a głupowaty Felek stał jak kołek. Na tem stanęło, że nazajutrz przyjdą do Stachowéj chałupy na zaręczyny.

Matkę tam równie coś zakłuło w sercu i mówiła ona w drodze do swojego:

— Słyszysz! ten Felek to straszny niedołęga, Małgosia nigdy nie będzie miała serca do niego.

— Cicho głupia! co ty tam wiesz! będzie miała pieniądze, to jéj będzie dobrze na świecie.

O kłamiesz, kłamiesz człowieku! bluźnisz Pana Boga, wszystkim złotem nie okupisz łez twojego dziecka i Bóg ci je na sądzie przypomni. Nie będzie jéj dobrze na świecie nie! a niedola jéj kamieniem na serce twoje spadnie. Tak sumienie mówiło Stachowi, ale on sumienia nie słuchał i szli daléj ku wsi, nic już do siebie nie mówiąc. Małgosia daléj szlochała u płota i niewidziała jak Jasio wyszedł z lasu z pękiem gałęzi na plecach, i zobaczył ją i szedł ku niéj polem na przełaj, a nawet tuż naprzeciw niéj stanął z drugiéj strony płota, a ona jeszcze nie widziała nic, tylko ciągle zawodziła i zawodziła płacząc. Jasiowi się też miękko jakoś na sercu zrobiło i niby go coś zatknęło w gardle, że tylko wyszepnął:

— Małgoś! a i czegóż?

Małgosia na ten głos odskoczyła od płota, schwyciła się obydwiema rękami za głowę.

— A mój Boże! mój Boże! gdzie ja ucieknę? gdzie ja się podzieję? I choć Jasio wołał za nią nie obejrzała się, biegła jak szalona, biegła do chałupy, aż w progu. . spotkala ojca.

— Gdzie to się włóczysz wałkoniu? gdzie? krzyknął na powitanie ponury Stach.

Małgosia jakby nie słyszała i nie widziała już nic w koło siebie.· Wymijając ojca próg przestąpiła, weszła do izby, siadła w kącie na skrzynce, załamała ręce i znów głośnym wybuchnęła szlochem.

Matka niby to poprawiając w kominie, bokiem odwróciła się od męża i łzy co gęsto sypały się z oczu, raz po raz ocierała fartuchem. I w Stachu zadrgało serce, przecież i on był człowiekiem i sumienie znów wołać zaczęło: „Nie zabijaj, nie zabijaj własnego dziecka, za pieniądze szczęścia nie kupić. Ale wnet upór, chciwość i pycha górę wzięły i wrzasnął głośno, żeby głos własnego serca i sumienia zagłuszyć.

— Czekaj no czekaj, wypędzę ja ci te żale!

— A to mnie bijcie i zabijcie, zawołała Małgosia, bo ją tak całą żałość przenikła, że już zapomniała i o strachu, który ją zawsze ogarniał na ojcowskie słowa. Matka na to, dobra kobiecina, ale strasznie bojąca się męża, przelękła się i teraz że się Małgosi wysunęło takie

harde słowo. Przystąpiła więc do niej, a choć jej samćj płacz uwiązł w gardle i prawie mowę zatknął, wyjąkała przecie:

— Nie płacz że dziecko moje, toć wiesz, że ojcu na przeszkodzie stawać, na nic się nie zdało. A bo to ci będzie źle być gospodynią we własnéj chacie, w sukienkach ładnych chodzić. Nie sprzeciwiaj się już ojcu moja Małgoś, taka już widać dola, jutro Felek z ojcami i z wódką przyjedzie.

Małgosia na początek téj mowy niezważała wcale, ale na ostatnie słowa, jakby ją kto źgnął rozpalonem żelazem, zerwała się, i już jakby od rozumu odeszła, tak prędko jedno za drugiem gadała, a niby jedno drugiego się nie trzymało, tylko, że we wszystkiem tkwił ból jeden, co powinien był poruszyć przecież ojcowskie serce, żeby było od chciwości i pychy nie skamieniało! Więc porwała swój grzebień wysoki i w drobne kawałeczki go strzaskała, a włosy na szyję spadły; chustkę wełnianą zdarła ze siebie i rzuciła na ziemię.

— Nie chcę ja sukienek, nie chcę, nie chcę ani gruntu, ani malowanéj szafy, ani cynowych talerzy. Oddajcie mi szkaplerz, wszystko wam zostawię i skrzynkę i chusty i suknie szlacheckie, i pójdę z Jasiem w świat, albo się utopię, i tak mi już nic nie będzie potrzeba. Pójdę w jednéj koszuli, w jednym szkaplerzu. Ja się zatracę, jak mi za Jasia iść nie dacie i będziecie mnie przeklinać... O Boże mój Boże! na com ja się narodziła na ten świat, żebym zmarniała na nim!..

A matce biednéj, słysząc skargi tak żałośliwe.
Dobre serce od żalu zostało ledwo żywe.

Cóż, kiedy już tak przyuczyła się drzeć przed mężem, że nawet za własnem dzieckiem ująć się nieodważyła, choć przecie prawo Boskie dawało jéj moc nad niem i niegodziło jéj się zezwalać na własnéj córki zaprzedanie.

A tobie ojcze wyrodny na sądzie wielkim,
Bóg przypomni tę wielką boleść twego dziecka.

Siedział Stach na ławie i w ziemię patrzył, oczy głęboko zapadłe jak węgle mu się posępnie żarzyły, usta zaciął, że jedno nie wyszło z nich słowo, a przecie znać było, że w nim gada upór: „Tak chcę i tak być musi.“ Tak się też i stało! Małgosia jak wybuchnęła żalem, co jéj duszę przenikał, tak potém ucichła, ręce wsparła na stole, głowę schowała w rękach, czasem jej się z piersi jęk wyrwał i... tak zasnęła. Ciemność zaległa chatę, zatrzeszczały czasem węgle, i buchnęły czerwonym płomykiem. Matka w ciemnym kącie plusnęła wodą myjąc statki, pies poszczeknął na dworze, aż wreszcie ostatnie płomyki w kominie zagasły, pluskanie ustało, księżyc zajrzał przez drobne szybki, wszystko ucichło, a Małgosia całą noc tak przesiedziała na skrzynce, z rękami na stole i z głową na ręku.

*
* *

Na drugi dzień biedna dziewczyna wstała, krzątała się, napaliła ogień, zamiotła izbę, ale wszystko to robiła jak nieżywa. Niepłakała już, ani nie mówiła nic. Ojciec też cały dzień z chaty się nie ruszył, a po swojemu oczyma trzymał ją na uwięzi, że na próg stąpić nie śmiała. Głucho było w chacie jak w grobie. Wieczorem Małgosia wzięła skopki i wyjść się zabierała.

— Gdzie się zabierasz? krzyknął ojciec, pierwszy raz dopiero w tym dniu otwierając usta.

— Pójdę krowę wydoić.

— Nie pójdziesz! Nie ruszysz mi się z izby!

Jak chodziła niby martwa dzień cały, tak też i usiadła jak nieżywa.

—Ogarnij się, po chwili znowu zawołał Stach.

Wstała, poszła do komory, rozpuściła po ramionach chustkę, żółtą szpilką spięła włosy i znów siadła na skrzynce ze zwieszoną głową. Ani się ruszyła jak matka stół nakrywała obrusem, stawiała na nim piwo i wódkę i placek biały; Małgosia patrzała na to jak szklannemi oczami.

Po chwili zajechali Maciejowie z Felkiem. Chłop to był wysoki, niemiłego wejrzenia i głupowatéj miny. Matka go szturchała i dopowiadała jako się ma ojcom pokłonić, wódką do nich przepić, on słuchał i robił, a śmiał się głupowato.

Małgosię też popychano, dopowiadano jéj, ona słaniała się po izbie, przyniosła kieliszek, upiła z niego trochę i stanęła tam gdzie ojciec popchnął.

Stach za to dużo gadał, częstował, gadała i Maciejowa, jako młyn gdy pytlować pocznie, przypijano gorzałką i piwem, zajadano plackiem i tak się odbyły zaręczyny. Tylko za oknem coś niby ruszyło, niby się ktoś westchnął

czy jęknął, Małgosia to usłyszała i dojrzała Jasia, rzuciła się do komory, usiadła w ciemnym kącie na worku z grochem, i choć ojciec wołał i groził, wyjść już nie chciała. Nie bardzo jakoś o to dbał pan młody, pociągnął on wódki sporo i zdrzemnął na ławie pod piecem. Maciejowie ze Stachem dobijali reszty, parę razy o mało się nie pokłócili, to o jałoszkę, to o wóz kuty, to o maciorkę z prosiętami, a Stachowa ino łzy połykała.

Dali zaraz na zapowiedzie, a w trzecią Niedzielę sprawili wesele. Nie w gorsecie i nie we wstążkach Małgosia ślub brała, ale w sukience z rękawami, co jéj pod brodę zachodziła i w nowym jeszcze wyższym grzebieniu, oczepili ją pańskim czepkiem, i pojechała na drugą wieś do męża kosztować owéj złotéj doli, co ją dla niej ojciec zgotował.

Niedługo potém było wesele Marysi. Wywijała na niem migając wstęgami; kraśniała rumieńcem, błyszczała ząbkami, świeciła czarnemi swemi oczami. Tomek krzeszał ognia aż drzazgi leciały, bo też tak szykownie wyglądała dziewczyna w nowym gorsecie, tak jéj się oczki śmiały z pod dużego czepca, że gdy ją czepili, mąż objął ją w stanie, do góry podniósł jak piórko i od serca jéj szepnął: „Maryś! Maryś! jak Bóg w niebie, nie będzie ci żadna bieda, bo cię miłuję... okrutnie!

* * *

Oj dola to była złota, owa Małgosina dola. Dzień każdy upływał ze łzami. W kilka coś tygodni po weselu, Macieja starego co jeszcze najlepszy był dla synowéj, przywaliła belka, kiedy robił około nowéj stodoły i tak zakończył życie. Felek ciemięga do niczego, ni to umiał w gospodarstwie się obrządzać, ni z dobytkiem obejść i marniało wszystko. Niby to tam Maciejowa jęła się do rządów, klęła w pień syna, synowę gnała do roboty dobrego słowa nie dawszy, skąpiła wszystkiego, swarzyła się z każdym, wszystko niby w garści trzymała, wszystko jednak upadało, niszczało i marniało.

Stach niby nie przyznawał, że go dogryzało do dna patrzeć na taki los jedynego dziecka, ale mu oczy coraz głębiéj wpadały, wysechł aż w sobie i pożółkniał na twarzy. Głupowaty Felek podburzony przez matkę, porwał się raz na żonę, ukrzywdził ją ciężko, cherlała też ona i przedtém, a teraz się też na dobre rozniemogła. Stach nic nie mówiąc, jednéj Niedzieli wóz wyszykował, pojechał do córki jak Maciejowéj w domu nie było, ledwo żywą wsadził i przywiózł do chaty.

Było to już w rok po weselu, nawet pono i późniéj, bo już jakoś na jesieni. Zmierzchło całkiem na dworze, wiatr tłukł w ściany, a deszcz zimny w szyby dzwonił, na kominie tlało głowienek parę, a jak się rozżarzyły lepiéj i padło światło na twarz Stacha, co siedział obok na ławie, to aż strach było spojrzeć na niego. Bo też straszną za swoja pychę i chciwość cierpiał karę. Obok konało jego dziecko jedyne, a sumienie wołało na niego: Tyś zbójca własnéj córki!

W najciemniejszym kącie na łóżku leżała Małgosia, obok siedziała matka, a serce jej w kawały padało, patrząc na ciężkie konanie.

— O moja Matusiu! przenikającym głosem zawołała Małgosia, moja matusiu serdeczna, już ja nie przetrzymam tych boleści, już ja nie przetrzymam! O! proście Boga żebym ja już umarła. Tylko jak umrę, nie ubierajcie mnie do trumny w pańskie sukienki i nie dawajcie tego oczepinowego czepka. Tam w skrzynce na dnie, leży jeden czepek chłopski, com go sobie uszyła, jak nikt nie widział, w ten mnie ubierzcie. Szkaplerz mi dajcie na szyję i pochowajcie oto z tym pierścionkiem na palcu. Moja złota matusiu, oj biednaż moja dola, już wy mnie nie płaczcie, ja już dawno Pana Boga prosiłam, żeby mnie ztąd zabrał.

Stach już bolu powstrzymać nie mogąc, zbliżył się do łóżka.

— Małgoś dziecko moje, Małgoś! czy ty mnie nie poznajesz?

— O mój tatusiu, mój serdeczny, nie dajcie mnie chować w szlacheckich sukienkach. O Jezu mój Jezu, już ja nie przetrzymam...

I padła na poduszki, oczy kołem stanęły, dusza poleciała skarżyć się Panu Bogu na tę ziemską dolę.

Tego samego wieczora, w Tomkowej chałupie siedział Szymek u komina na ławie, siedział i piastował malutkie dzieciątko, swojego wnuka. Marysia choć na łóżku jeszcze, uśmiechała się zdaleka i prosiła się Tomka:

— Przynieśże mi go, przynieś od tatusia, niech mu się napatrzę.

Tomek choć nie bardzo zgrabnie, ale wziął dzieciątko od dziadusia, i niósł je jakby co szklannego, a podać żonie nie umiał, że matka niby się gniewała, niby śmiała, Szymek zaś patrząc na nich, w górę podniósł oczy i wyszeptał:

— Błogosław mu Boże! niech rośnie Tobie na chwałę, ludziom na pociechę!

Miały być chrzciny w pierwszą Niedzielę, ale właśnie wyprowadzono Małgosię i nie godziło się dnia tego weselić.

Biblioteczki parafialne.

Ich potrzeba i łatwy sposób powszechnego ich po parafiach urządzenia.

—

Poczucie nieodzownej potrzeby i obowiązku szerzenia oświaty pomiędzy ludem wiejskim, nigdy nie było na ziemi naszéj bardziej rozbudzonem, jak w chwili obecnéj.

Usiłowania w tym celu przedsiębrane są prawie powszechne, a środki do tego użyte nader wielorakie.

Zaprzeczyć niepodobna, że jeżeli w ludzie naszym głęboko wszczepiona jest wiara i poszanowanie kościoła i jego obrzędów, jeżeli obojętność lub niedowiarstwo nie skaziło dotądjego charakteru, zawdzięczamy to wiekowéj pracy duchowieństwa, które samo nie ledwie dotąd, bez pomocy szkółek i innych środków, zasilało lud wiejski wytrwale słowem chrystusowej prawdy z konfessyonału i ambony.

Należy wszelako dzisiaj, bez straty czasu, na tem zdrowem i bogatém tle wiary, niczem niezachwianej, zasiewać i krzewić pilnie wiadomość praktyczną obowiązków i stosunków społecznych, wiadomości wreszcie początków różnych nauk, czyli to z rolnictwem, czyli też z innym przemysłem w związku będących.

Człowiek z korną wiarą w sercu, objaśniony o wszystkiém co wiedzieć powinien, jako mieszkaniec ojczystego kraju, rolnik czy rzemieślnik, gospodarz lub służący, staje się dopiero rzeczywiście pożytecznym członkiem społeczeństwa, świadomym swych obowiązków i przeznaczenia.

Dla szybkiego dopięcia tego celu, niepodobna jest wyczekiwać odchowania młodych pokoleń, z pomocą istniejących lub założyć się dopiero mających ochron lub szkółek, ale obok nich należy wyszukiwać wszelkie inne możliwe drogi i środki działania.

Do tych niewątpliwie należy dostarczanie dobrych książek, odpowiednich pojęciom i potrzebom ludu wiejskiego, ktoreby z pożytkiem, albo służyły nie wielkiéj liczbie umiejących czytać, alboli też, któreby mogły czytywane być głośno zbierającym się gromadnie mieszkańcom wiosek w niedziele lub w święta, w godzinach po południowych, przez umiejących czytać biegle, a razem mogących zebranym słuchaczom stosowne do przedmiotu dawać ustne objaśnienia.

Powszechne urządzenie na ten cel biblioteczek po parafiach, pod gorliwą opieką szanownych plebanów i księży wikaryuszów, jest rzeczą niesłychanie dla dobra ludu wiejskiego pożądaną, a która, wywierając przez pojedyncze lub gromadne książek pożytecznych czytanie, niewątpliwy wpływ na moralność i rozwinięcie myśli ludu, podniesie znaczenie i skuteczność nauk słyszanych z ambony i konfessyonału, a tem samem święte posłannictwo kapłanów poprze i ułatwi.

Wprawdzie liczba dziełek odpowiednich potrzebom i pojęciom ludu wiejskiego nie jest w téj chwili tak wielka, jakby to było do życzenia. Wszelako, nietylko na początek z istniejących już można złożyć, obok pism tygodniowych wychodzących w Warszawie, biblioteczkę pozyteczną, ale co więcéj, powszechny popęd, dzisiaj rozbudzony, do powiększenia liczby książek ludowych wnosić każe, że niezadługo biblioteczki takie obficie zaopatrzyć się dadzą.

Aby ułatwić nabycie i wybór biblioteczek ludowych wiejskich, księgarnia pana Celsa Lewickiego w Warszawie, w gmachu teatralnym, pod filarami, postanowiła przygotować znaczny zapas księgozbiorów w warunkach nader korzystnych. Księgozbior taki każdy składać się będzie na raz pierwszy z kilku dziesiątek dziełek oprawnych odpowiednio, a dobranych za poprzedniem ocenieniem i uznaniem ich wartości, przez trzy Redakcye pism peryodycznych warszawskich, a mianowicie: Redakcyi Pamiętnika Rel. Moralnego, Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj i Redakcyi Roczników Gospodarskich, które w tak zacnem przedsięwzięciu p. Celsowi Lewickiemu swoją pomoc co do wyboru dzieł w skład biblioteczek wchodzić mogących, chętnie i nadal przyrzekły.

Ogłoszenie warunków nabycia tych księgozbiorów jakoteż i ogłoszenie katalogu dziełek w ich skład wchodzących, wkrótce nastąpi.

Nie należy wątpić, że gorliwość księży dziekanów, proboszczów i wikaryuszów w połączeniu z gotowością obywateli do ofiar, oraz wsparta pomocą członków dozorów kościelnych, doprowadzi do skutku powszechne założenie biblioteczek parafialnych i czytań wspólnych głośnych, stosownemi objaśnieniami ustnemi popartych.

Zaiste, w łącznem działaniu duchowieństwa i obywateli spoczywa możność pomyślnego a zdrowego postępu oświaty ludu. Pojedyncze działanie kapłanów lub samych obywateli z trudnością przynosi owoc. Kapłani i wyżsi oświatą mieszkańcy wiosek, są społem piastunami wielkich obowiązków, względnie do ludu, którego los i kierunek w ich ręce złożyła Opatrzność, a którego podniesienie moralne, umysłowe i materyalne najświętszym jest w obliczu Boga obowiązkiem.

(Pamiętnik Religijno-Moralny).

Różności.

Gazeta Polska wydrukowała następującą depeszę telegraficzną z Tulczyna: „Obywatele gubernii Podolskiej, powiatu Bracławskiego, na zjeździe pośredników, osobnym aktem postanowili: przy dobrowolnych umowach z włościanami sprzedać im ziemię pod zabudowaniami, orną i sianożęcie, odstępując piątą część szacunku prawnie oznaczonego. Ilość ziemi będąca własnością obywateli, którzy akt podpisali wynosi z górą 54,000 morgów, w posiadaniu włościan jest z niéj 18,000 morgów. Summa ustąpiona na korzyść włościan przechodzi 800,000 złotych polskich.“ Z wielką pociechą serca donosimy o tym pięknym czynie szlachty polskiej wykazującym, iż braterskie uczucia dla chłopów, nie są w niej udaném, próżném, ale rzeczywistém uczuciem. Niemałe ofiary jedni ponoszą, inni gotowi są ponieść, byle tylko poprawić dolę naszego włościanina, byle tylko oświecić go i zrobić obywatelem kraju. Spodziewamy się, że cel ten osiągnięty zostanie, a włościanie ocenią jak należy tych, którzy dla nich pracują, a ufnością i zawierzeniem im, ułatwią starania dla ich i całego kraju szczęścia, pczedsiebrane.

— Obywatele m. Warszawy, postanowili wysłać swoim kosztem na Wystawę powszechną do Londynu kilkudziesięciu niezamożnych rzemieślników i fabrykantów. Przyjrzą się tam oni wyrobom całego świata, nowym wynalazkom, udoskonaleniom, a po powrocie udoskonalenia te zaprowadzą u nas. Bardzo więc pożyteczną sprawą jest to wysłanie zdolniejszych rzemieślników do Londynu, bo przyczynić się ono może do podniesienia polskiego rękodzielnictwa i przemysłu, którego wzrost bardzo dla kraju jest pożądanym. Inne miasta powinny się także starać o zebranie funduszu na podróż zdolniejszych swoich rzemieślników do Londynu, a zamożni fabrykanci mogliby niektórych z czeladzi, swoim kosztem w te podróż wyprawić.

— We wsi Zbijewo na Kujawach, żona kowala uczy dzieci od roku przeszło; dziewczynki uczą się także i robot. Ponieważ tamże założono szkółkę i we dworze, więc dzieci we dnie uczą się u kowalowéj, a wieczorami chodzą do dworu. Z wsi okolicznych do tych szkółek dzieci przyjeżdżają i dobrze korzystają z nauki zacnych ludzi.

— We wsi Sobole pod Siedlcami, szynkarz Adam z własnéj kieszeni prenumeruje pisma ludowe, a po książki umyślnie jeździ do Warszawy i gościom swoim czytuje z nich ciekawsze ustępy. Karczma w Sobolu, przestała być miejscem rozpusty i pijaństwa, a stała się miejscem przyzwoitej zabawy i pożytecznej nauki. Nie chodzą tam po to, ażeby się pokłócić, pobić, nasłuchać kłamstw przybłędy, podmawiającego chłopów na panów, a grosz ciężko zapracowany zmarnować na gorzałkę; ale po to, zeby się zobaczyć z sąsiadem, zabawić z przyjacielem i posłuchać pięknego czytania. Gdyby inni szynkarze chcieli naśladować Adama, wiele dobrego zrobiliby dla narodu, bo przyczyniliby się do jego oświecenia i szczęścia które za niem idzie.

— Pewna wieśniaczka o 6 mil od Warszawy mieszkająca, przyszła piechotą do miasta, żeby kupić za 8 złp. książek i papieru do nauki, dla swojéj córki „Nie chcę, mówiła ona, żeby dziecko moje, miało być tak nieoświecone jak ja. Niech się tylko uczy, ja pieniędzy na książki żałować nie będę.“ Mądra to zaprawdę matka, bo mądrze chowa dziecko swoje w miłości Bożéj i w nauce, na pożytek sobie i ludziom.

— Wyszedł z druku i jest do nabycia w księgarni Celsa Lewickiego, w gmachu teatralnym w Warszawie: „Sposób uauczenia czytania w 22ch lekcyach. Ułożony i doświadczony przez Franciszka Krynickiego, dla ochronek i szkółek wiejskich.“ Jeden egzemplarz wystarczy dla caléj szkoly, gdyż składa się z liter drukowanych na osobnych kartkach i tablic z abecadłem i do sylabizowania. Egzemplarz kosztuje dwa ruble. Autor *sposobu nauczania czytania*, sam w wieloletniej praktyce doświadczył jej użyteczności, a wydaniem jej dla użytku publicznego, spodziewa się ułatwić nauczycielom mozolną pracę nauki czytania.

— Nie wiele miast odznacza się równą jak Warszawa dobroczynnością i poświęceniem dla cierpiących. Każdy smutek, nieszczęście, niedola, znajduje ludzi gotowych mu zaradzić, spieszących złożyć swój wdowi grosz na ołtarzu ubóstwa. Dowodem tego, pomiędzy innemi jest i loterya fantowa, urządzona przez Redakcyę Czytelni Niedzielnéj, na korzyść ubogich matek, znajdująca silne u publiczności poparcie. Fanty już są zebrane, a widzieliśmy pomiędzy niemi, prócz pięknych robótek, błyskotek i rzeczy pożyteczne. Obraz śmierci Barbary Radziwiłłównéj, mappki, egzemplarze Czytelni Niedzielnéj, książki ludowe i prawo umieszczenia sierotki na koszt redakcyi w Zakładzie św. Wincentego á Paulo, znajdują się pomiędzy fantami. Sprzedaż biletów, już się rozpoczęła w kantorach Czytelni, w Redakcyi i przez osoby uproszone. Bilet kosztuje 2 złp. i każdy wygrywa. Ciągnienie wkrótce nastąpi w Ochronce przy Redakcyi Czytelni egzystującéj.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80—półrocznie kop. 90—kwartalnie kop 45—miesięcznie k 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz naleźności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 30 Marca 1862 roku.